

Pani Gabriela Durczyk jest młodą pielęgniarką o wielkim sercu. To serce zaprowadziło ją dokładnie na rok do szpitala w Bagandou w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie przed nią i z nią były osoby z Polski jako wolontariusze podające dłoń chorym i potrzebującym – korzystającym ze szpitala. O dniach spełnionych marzeń, mimo trudności i realnych zagrożeń opowiada w swoim poniżej prezentowanym świadectwie.

W dniu 21 listopada 2012 roku wsiadłam do samolotu w Warszawie. Następnego dnia miałam postawić stopę na Czarnym Łądzie – ziemi wymarzonej, wyśnionej, do której tyle lat wrywało się moje serce. Euforii nie było końca – przygotowania, lot, pierwsze dni w parnym Bangui, wypełnione były niezmiernymi polami zasianymi radością. Cudowne jest spełnianie marzeń.

Później było zderzenie z rzeczywistością – z biedą, troskami miejscowej ludności, analfabetyzmem i ciężką pracą w szpitalu, w którym miałam spędzić ten rok. Bagandou, gdzie mieści się szpital, jest niewielką miejscowością pośród wiecznie zielonych lasów pełnych dziwnych stworzeń, ptaków znanych tylko z filmów dokumentalnych i nigdy nie cichnącej orkiestry świerszczy. Piękna to okolica, gdzie dzika zieleń otacza człowieka zewsząd, a banany i ananasy rosną sobie jak gdyby nigdy nic, tuż obok domu.

Sam szpital im. bł. Jana Beyzyma składa się kilku parterowych budynków połączonych zadaszonymi przejściami. Jest administracja, apteka, laboratorium, jest pediatria, oddział dla dorosłych ze wszystkimi znanymi ludzkości schorzeniami, jest blok operacyjny, dyżurka pielęgniarska, jednołóżkowa porodówka, sala opatrunkowa – tzw. „mała chirurgia”. Są leki, są rękawiczki, jest sterylizacja narzędzi, segregacja odpadów, bieżąca woda, światło, nocne dyżury i nawet szkolenia dla personelu, bo niby gdzie indziej mogliby się uczyć? I to wszystko jest, przypominam, w środku buszu w jednym z najbiedniejszych krajów świata.

Szczerze muszę przyznać, że początkowo zadziwiona byłam poziomem leczenia, jaki prezentował szpital, zadziwiona w sensie pozytywnym. Wyjeżdżając nie wiedziałam czego się spodziewać, a po jakimś czasie zrozumiałam, że leczymy na równym, a często nawet i znacznie lepszym poziomie niż placówki państwowe.

Pielęgniarze także często zadziwiali mnie swoimi umiejętnościami i wiedzą. Jak wszędzie – są i słabsze ogniwa, ale z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że każdego dnia uczyliśmy się od siebie nawzajem, konfrontując wiedzę europejską z afrykańskimi metodami.

Pacjentów mieliśmy wszelakich – od skaleczeń do głębokich ran, od złamań po amputacje, od lekkiej malarii czy tyfusa po takie, gdy trzeba było na gwałt toczyć krew, by ratować życie. Naszymi pacjentami byli wyznawcy wszelkich religii, dzieci i starsi, o pomoc mógł prosić każdy.

Brak pieniędzy na leczenie nie był przeszkodą – liczyło się najpierw życie, a potem ewentualny zwrot kosztów leczenia. I... niestety, wyróżniało nas to na tle państwowych ośrodków zdrowia, gdzie bez pieniędzy nie było po co przychodzić.

Zdarzało się, że musieliśmy robić kilka transfuzji dziennie, czasem nasza wspaniała położna odbierała po dwa porody, niekiedy zakończone cesarskim cięciem na bloku operacyjnym. Kiedyś szyliśmy ofiary bójkę na noże. Wiele osób, wiele dzieci nie udało się uratować z różnych przyczyn, ale wiele było też cudów, których nie umieliśmy z medycznego punktu widzenia wyjaśnić.

Opowiem tu o jednym z nich, o naszym cudzie imieniem Maiva. Maiva to kilkuletnia dziewczynka, która trafiła do nas z bardzo poważną malarią. Była w śpiączce, zupełnie bez kontaktu, z temperaturą 40°C, która nie chciała spaść przez 2 tygodnie! Dziecko wymagało natychmiastowej transfuzji, ale nie mogliśmy toczyć krwi przy takiej temperaturze. Karmiona była przez sondę, przebierana, myta, nacierana, rehabilitowana, by możliwie zmniejszyć przykurcze mięśni spowodowane długim unieruchomieniem. Okazało się, że miała HIV.

Gdy mała Maiva walczyła o swe wątłe życie, jej matka w zaawansowanym stadium AIDS umierała kilka sal dalej. Ojciec dziewczynki, również seropozytywny, nie radził sobie z całą sytuacją znikając gdzieś na całe dni, starsi bracia musieli kraść, by przetrwać. Trudne to były chwile. Mieliśmy świadomość jak niewielkie są szanse Maivy na wykaraskanie się z tego

wszystkiego.

Aż tu nagle cud – gorączka zaczęła opadać, a dziewczynka reagować początkowo na ból, później także na inne bodźce. Potem otwierała oczka, w końcu zobaczyliśmy pierwszy uśmiech, gdy siostra zakonna zaczęła tańczyć i śpiewać z Maivą na rękach. Mogliśmy usunąć sondę, przez którą była karmiona. Transfuzji już nie trzeba było robić – wyniki krwi zaczęły się powoli normować. Dziewczynka została wypisana do domu, a podczas kontroli, na których miała zjawiać się co 2 tygodnie, widać było postępy – stopniowo uczyła się samodzielnie jeść, później mówić. Była ocalona.

Ukoronowaniem naszych wysiłków były odwiedziny, które nam zgotowała pewnego lipcowego poranka przychodząc na misję... na własnych nogach! Dziecko, które cudem wywinęło się śmierci, dla którego tak niewiele było nadziei, przyszło radosne przed nasz dom, świadomie lub nie, rozpalając w naszych sercach nowy ogień i dodając sił na dalsze zmagania z rzeczywistością.

Do tej pory na honorowym miejscu w moim albumie jest zdjęcie z tamtego dnia, kiedy uśmiechnięte od ucha do ucha stoimy wokół Maivy – naszego małego cudu.

W pewnym momencie, w te nasze lepsze i gorsze dni zaczęła wkradać się rebelia. Od miesięcy docierały do nas niepokojące wieści z różnych stron kraju. Zaczęliśmy odczuwać ich skutki bezpośrednio. Były nieprzespane noce, były strzelaniny, rebelianci na misji i w szpitalu, nawet ucieczka do lasu. Widzieliśmy ogrom zła i wciąż odnawiane pokłady nadziei. Baliśmy się o nasze życie i o życie innych, o to co przyniesie nowy dzień, czy dane nam będzie spokojnie przespać noc. Mieliśmy spakowane rzeczy na wypadek pospiesznej ewakuacji i jedzenie pochowane po całym domu, gdyby akurat chcieli ograbić naszą spiżarkę. Do tej pory mam w pamięci 4 kg kaszy na najniższej półce szafy w moim pokoju i herbatę gruszkową pod komodą w jadalni.

Bolał nas bezsens i wszechogarniający chaos. Bolała bezsilność i brak reakcji innych poza kilkoma „zdecydowanymi potępieniami wydarzeń w Republice Środkowoafrykańskiej”, które oczywiście nic nie wskórały. Z drugiej jednak strony, wspaniale było patrzeć na mieszkańców Bagandou broniących „swojego szpitala” i naszych pielęgniarzy gotowych przechować nas u siebie po domach byleby nic nam się nie stało.

Diabeł działa zawsze. Wszędzie. Nie wolno jednak zapominać, że Bóg jest od niego potężniejszy.

Niezwykłym jest człowiek stworzeniem, że potrafi się do wszystkiego przystosować. Cudowny jest Bóg, gdy zsyła swą łaskę tak, by móc umieć obcować nawet z rebeliantami, żyć obok nich, modlić się za nich. I dobrze, że są ludzie, którzy starają się kochać, choć ta miłość nie jest łatwa i ufać, choć nie ma dowodów, że warto.

Wyjeżdżałam z Republiki Środkowoafrykańskiej w środku rebelii zostawiając tam część swojego serca, trochę swojej pracy, a zabierając plecak pełen wspomnień, ciepłych słów, już kłujących duszę tęsknot do tych ludzi, do ich uśmiechów, ich wyjątkowości. Dali mi więcej niż ja mogłam dać im. Nie było idealnie. Nigdzie nie jest.

Ważne jednak, by nie dzieliło nas to co nas dzieli,
ale łączyło nas to co nas łączy.

Gabriela Durczyk